Nr. 34. Sobota, dnia 19-go sierpnia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dziesiątą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XII, wiersz 2—11.

Bracia! Wiecie, iż gdy poganami byliście, do niemych bałwanów jako was prowadzono szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w duchu Bożym mówiąc, nie mówi przeklęctwa Jezusowi: a żaden wymówić nie może Pan Jezus, tylko w Duchu świętym. Różności darów są: lecz tenże Duch. I są różności spraw, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku pożytkowi. Jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości, a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu, drugiemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Jednemu czynienie cudów, drugiemu proroctwo: innemu rozeznanie duchów, temu rozmaitość języków, a owemu tłómaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden Duch, udzielając z osobna każdemu jako chce.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XVIII, wiersz 9—14.

Onego czasu mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby byli sprawiedliwymi, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili; jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Dziękuję tobie Boże, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Postem trapię się dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik stojąc z daleka, nie chciał ani oczu podnieść w niebo; ale się bił w piersi swoje, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Zaprawdę powiadam wam, że ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego więcej, niźli on. Albowiem, ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżony; a kto się uniża, będzie podwyższony.

NAUKA.

Wyraźnie wskazuje dzisiejsza Ewangelia święta, o co Panu Jezusowi w przypowieści o faryzeuszu chodzi, kiedy wspomina, że mówił to Zbawiciel nasz „do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jako sprawiedliwi, a inszymi gardzili". Widocznie chce nas Pan Jezus pouczyć o grzechu zarozumiałości i wynoszenia się nad drugich i o przeciwnej temu cnocie wewnętrznej pokory. Ważna to nauka, bo nie darmo mówi Pismo św., że „Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa". W szczególności przedstawia nam Pan Jezus w osobie faryzeusza najpospolitsze objawy zarozumiałości i zgubne jej skutki, a w osobie celnika daje nam wzór pokory.

Mają zarozumiałość i pokora to sobie wspólnego, że we wszystkich naszych sprawach i stosunkach, szczególnie jednak przejawiają się w naszym stosunku do Boga; bo nie są czemś zewnętrznem tylko, co jak odzienie można dowolnie zmienić, ale są przymiotem duszy zupełnie wewnętrznym, i dlatego wszędzie nawet mimo woli się zdradzającym. Mogą i pokorny i zarozumiały czynić to samo, jak tu opowiada Pan Jezus, że jeden i drugi wstąpili do kościoła, aby się modlić; i obaj też rzeczywiście się modlili, ale każdy po swojemu; czynili obaj to samo, ale nie tak samo.

Zarozumiały więc faryzeusz przez zarozumiałość swoją uważa się za coś lepszego od innych, „żem nie jest jako inni ludzie"; siebie tylko ceni, a innymi pogardza. Zarozumiałość ta u jednych jest większa, u innych mniejsza, w miarę tego do ilu i jakich mniemanych lub rzeczywistych zalet naszych się odnosi. Ten faryzeusz zdaje się, że rzeczywiście nie był ani drapieżnym, ani niesprawiedliwym, ani cudzołożnikiem — przynajmniej nie było mu można zarzucić ani rozboju, ani kradzieży, ani cudzołóstwa; ale to nie daje mu prawa do przechwalania się, ani do pomiatania drugimi. Bo cóż wielkiego, że nie dopuścił się zbrodni, zwłaszcza, jeżeli był w takiem położeniu, że nie potrzebował ani kraść, ani źle czynić. A przecież dość podobni są do niego ci, co to z chełpliwością zaliczają się do „porządnych ludzi". Jestem „porządnym człowiekiem", myśli kto o sobie. Im więcej wmówił w siebie, że jest „porządnym człowiekiem", tem większe ma wymagania i tem dziksze rości sobie pretensye i prawa, i tem łatwiej o lada co się obraża. A ostatecznie czegóż potrzeba, żeby być takim „porządnym człowiekiem"? Zwyczajnie wystarcza na to, że się nie było w kryminale, i że się ma niezbyt łatane i nie bardzo pomięte odzienie. Wielkaż to rzecz? Z pewnością jest i to łaska Boża, jeśli się kto przez całe życie nigdy żadnej nie dopuścił zbrodni, a jeszcze większa, jeśli nigdy nie popełnił grzechu śmiertelnego, i jest za co dziękować Bogu; tylko nie potrzeba za to dziękować tak, jak ten faryzeusz. Jeżeli znasz siebie i należycie zdajesz sobie sprawę z tych różnych poruszeń i namiętności, jakie raz po raz budzą się w sercu twojem, to wiedziałbyś, że jedynie szczęśliwym warunkom i okolicznościom, w jakich cię postawiła Opatrzność Boska, zawdzięczasz to, żeś nie popadł w gorsze grzechy, niż niejeden kryminalista, który sam nie wie, jakim sposobem popadł w nieszczęście — i nie wynosiłbyś się, ale z pokorą i wstydem dziękowałbyś Panu Bogu, że raczył cię ustrzedz przynajmniej od rzeczy najgorszych.

Zarozumiałości wszędzie pełno między ludźmi. Nieraz dzieciak poduczył się trochę w szkole i myśli, że już nie wiedzieć jak jest mądrym, i ojcu w oczy wymawia jego nieuctwo — i student, który uczy się w szkołach lub wyższych zakładach naukowych, a wstydzi się ojca w siermiędze ubranego pocałować w rękę, bo zdaje mu się, że on czem lepszem jest od

ojca — i ta dziewczyna, która poszła do miasta i z miejska się przebrała i myśli, że ona już jest „panną”, a inne dziewczęta w chusteczkach na głowie to hołota — i ów, co gdzieś kiedyś przemówił na zebraniu, albo wydrukowano go w gazecie, i już ma się za wielkiego i bardzo mądrego człowieka: u nich wszystkich i u wielu innych pokutuje w głowie i w sercu zarozumiałość.

Dalej chełpi się faryzeusz: „poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego co mam”. Dobrześ robił, że to czynił, ale źle, że się tem chwalił. Czyń dobrze, ale nie chwal się tem, ani przed ludźmi, ani przed samym sobą we własnem sercu, bo tem psujesz choćby najlepszą sprawę. Dobra jest pobożność, i jak mówi Pismo św. „do wszystkiego pożyteczna”, ale niech się do niej przyczepi zarozumiałość, a tem samem od razu przemienia się w złe dewociarstwo. Chodzi kto często do kościoła, przystępuje co tydzień, albo i częściej do świętych Sakramentów, lubi czytywać książki pobożne i rozmawiać o Panu Bogu i Świętych Pańskich, rzecz to doskonała; ale niech tylko przymiesza się do tego zarozumiałość, że taki albo taka pocznie się uważać za coś lepszego od innych, myśleć o tem, jak inni powinni się budować z tak świętego przykładu i naśladować go, o lada żartobliwe słowo gniewa się i dąsa, a na domiar złego krytykuje i sądzi wszystkich, że ten i ta nie są bez ale, że ci i owi straszne dają zgorszenie — każdemu łatkę przypnie, a ona jedna jest bez skazy, i tylko za ramki ją wstawić a będzie świętą: oto już pobożna osoba przedzierzgnęła się w dewotkę. Podobnież mądrość i roztropność wielka to cnota i wielki dar Boży; ale niech do niej przyłączy się zarozumiałoś(, i niech stanie się, że ten mądry sądzi siebie być mędrszym nad wszystkich, że kto nie podziela jego zdania, ten jest albo głupi albo zły, a już z mądrego stał się przemądrzałym. I tak każdą cnotę psuje i wywraca ta nieszczęśliwa zarozumiałość.

Może choć trochę rozumiesz z tego, co się powiedziało, jak niemądrą i przewrotną jest zarozumiałość; jak zaś jest szkodliwą w skutkach swoich, o tem dalej przekonujemy się z dzisiejszej Ewangelii. Najprzód nie przyczynia ona nam w oczach Bożych sprawiedliwości, bo dobrze mówi św. Paweł: „Ale u mnie to jest najmniejsza, żebym był od was sądzony... lecz ani sam siebie sądzę; albowiem się w niczem nie czuję; a który mię sądzi, Pan jest.” Nie jesteśmy takimi, za jakich nas ludzie mają — nie jesteśmy też tyle warci, ile nam się zdaje; ale o rzeczywistej wartości naszej jedynie sprawiedliwy sąd wydaje Pan Bóg, i według tego sądu weźmiemy też nagrodę lub karę. Daremny tedy trud sadzić się na to, żeby uchodzić za coś wielkiego w oczach ludzkich — daremniejsza jeszcze wysoko rozumieć o sobie, a jedyny prawdziwy rozum starać się o to, żeby podobać się Bogu i Panu naszemu.

Dalej mówi Pan Jezus: „Ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżon” i to nietylko kiedyś w przyszłem życiu, o którem ludzie zarozumiali rzadko na seryo myślą, ale najczęściej i tu w tem jeszcze życiu. Tak doświadczenie uczy, że z nikogo tak często ludzie nie naśmiewają się poza oczy, a nieraz i w żywe oczy, jak z zarozumiałych pyszałków; im więcej oni o to się gniewają, obrażają, tem więcej śmieją się z nich. Nikt też nie miewa tylu przeciwnych sobie, jak zarozumiały; bo zarozumiałością swoją każdemu prawie staje się nieznośnym, iż nim albo pomiata, albo go krytykuje, poniża, byle siebie naprzód wysunąć i wywyższyć; trudno zaś przeciw wielom wojować i ostać się. Rzadko wreszcie zarozumiały znajduje szczerych i prawdziwych przyjaciół, bo i on sam nikomu nie jest szczerym przyjacielem, jeno samemu sobie; i na kształt prawdziwego faryzeusza udaje tylko, jak wiele innych cnót, tak też i przyjaźń.

Pokora zaś polega głównie na małem o sobie i zaletach i zasługach swoich rozumieniu. „Kto się poniża”, rozumie się nie obłudnie w oczach ludzkich, ale szczerze przed samym sobą — zna i uznaje swoje niedostatki, a nie przecenia, a raczej nie ceni siebie dla tego trochę dobrego, co posiada w rzeczywistości i w sobie spostrzega, ten może nie zawsze w tem życiu, ale tem pewniej i więcej w przyszłem żywiu „będzie wywyższon”. W tem życiu nieraz się zdarza, że pokornych na ostatnie spychają miejsce, i nikt się za nimi nie ujmuje, ani zasług ich nie uznaje; ale za to Bóg ich darzy tym, który jest przedsmakiem i zadatkiem nieba, pokojem, jakiego świat dać nie może, wedle onej obietnicy swojej: „Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca, a najdziecie odpoczynek duszom waszym.” X. J.

Uroczystość Matki Boskiej Zielnej.

Niezwykły urok posiada to święto w drugiej połowie lata (15 sierpnia) przypadające, gdy sprzęt żyta i pszenicy ukończony, sady stoją obciążone dojrzewającym czerwonym i żółtym owocem, przed chatami kwitną smukłe malwy i georginie, a nad skoszonemi łąkami unosi się orzeźwiająca woń wysychających w słońcu pokosów.

Dnia tego pobożny lud dąży do kościołów z pękami ziół, aby je poświęcić. Niesie zioła i trawy żywiące bydło i te, których sam używa w różnych dolegliwościach, i kwiaty łąkowe i kwiaty zdobiące małe ogródki pod białemi, strzechą krytemi chatami.

Kobiety i dziewczęta w krasnych, barwnych chustach i sutych gorsetach, niosą ogromne bukiety ziół, woniejących, spiesząc do kościołów. Zdaleka wydaje się, że to rozsypane po drogach kwiaty, gnane podmuchami wiatru w jedną stronę.

Zbieranie ziół po miedzach, łąkach i ugorach rozpoczyna się już na dzień lub dwa dni przed świętem Wniebowzięcia. Dziewczęta wyszukują je pilnie, każda chce mieć jak największe bukiety; chłopcy kręcą batogi z konopi do popędzania koni, jeśli trzeba wozem jechać do oddalonego kościoła. Starym batem w dniu tym popędzać nie wypada.

W chatach wiążą uzbierane zioła, wśród których znajdują się „szczoteczki Najświętszej Panienki“, „korona Pana Jezusa“ (kwaśnica) żółta przytulia, mięta ogrodowa, bylica, macierzanka, kalina, biedrzeniec, ptasia mięta, dzika marchew, rozchodnik, boże drzewko, „warkoczyki Matki Boskiej“, dziewanna, dzwonki itp.

Jako ozdobę wkładają w środek bukietów słoneczniki, proso tureckie, astry, malwy, kłosy żyta, pszenicy, kilka gałązek grochu.

W niektórych wsiach do środka wkładają jeszcze krzaczek kapusty, jabłka i gruszki. Gdzieniegdzie zioła te związują batem, uważanym potem za środek przeciw bólowi gardła, które nim obwiązują.

W wielkopolsce zioła niosły dawniej do kościołów przeważnie kobiety i dziewczęta; bywały jednak wsie, gdzie z ziołami tylko chłopcy jechali do kościoła. Teraz we wielu miejscowościach nie prze-

strzegają już tej wyłączności; i dziewczęta i chłopcy niosą zioła do święcenia.

Po poświęceniu ziele bywa używane do różnych celów; gdzieniegdzie wstawiają je do kapusty, dla zabezpieczenia jej od gąsienic, używają go też do okadzania krów, gdy chorują.

To samo czynią na wiosnę, przy pierwszem wypędzaniu bydła na świeżą paszę, aby je zabezpieczyć od wszelkich czarów. Powszechny jest też zwyczaj dawania odwaru święconych ziół krowom po ocieleniu. Podczas grzmotu i burzy kadzą w chatach święconą leszczyną i dzwonkami. Jeżeli znajdzie się w zbożu dużo ostu, z powodu czego źle żąć, wówczas wyrywają jeden krzak ostu w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, poświęcają go w kościele, wsadzają w polu korzeniem do góry, wierząc, że na przyszły rok ostu tam nie będzie.

Na Matkę Boską Zielną.

Zdrowaś Maryo! Staruszek ksiądz
Święconą wodą zioła kropi,
Przed ołtarzami u Twoich stóp
W sukmanach szarych klęczą chłopi —

Baby w zapaskach, kraśnych jak mak
I parobczaki i dziewczęta...
Z kadzielnic bije błękitny dym,
Zdrowaś Maryo, Panno święta!

Wśród ostrołuków kościelnych naw
Organ olbrzymią pieśnią tętni,
Modlitwa płynie z tysiąca warg
Coraz żarliwiej i namiętniej...

Zdrowaś Maryo! Plony im daj,
Na łany rosę bożą ześlij —
Oto, Przeczysta do twoich stóp
Pachnące zioła z pól przynieśli...

Zdrowaś Maryo! błagalna pieśń
Z duszącą wonią ziół się miesza,
A na kościele, jak zbożny łan,
Do stóp się twoich chyli rzesza..

Na twoją chwałę, na twoją cześć
Z kielichów kwietnych biją wonie,
W jarzących blaskach woskowych świec
I w morzu kwiecia kościół tonie —

Radosnym głosem uderza dzwon,
Pod sukmanami serca biją,
Królowo plonów, Pani tych pól,
Zdrowaś Maryo!

Zdzisław Dębicki.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

Placyd przyskoczył do niego w chwili, gdy chciał się rzucić ku umierającej i gwałtem prawie uprowadził go z izby. Doktor usiadł przy łóżku.

— Zaklinam cię, mój przyjacielu — przemówił, gdy stanęli przed domem — uspokój się cokolwiek!

— Ach, co ja cierpię, co ja cierpię! — jęczał Piotruś. — Gdybyś pan wiedział, jak ja ją kochałem!... Rozumiesz pan, to moja matka, moja matka! Ale pan mnie zrozumiesz, boś ty moim bratem!

— Nie mylisz się, biedny chłopcze, pojmuję boleść twoją, rozumiem, że serce pękać ci musi. Ale jesteś mężczyzną, Piotrusiu, powinieneś panować nad sobą.

— Masz pan słuszność... trzeba być mężnym, choć serce się kraje. Ale wróćmy do izby, widzisz pan, że jestem już spokojny, o ile to jest możliwem. Chciałbym ją widzieć jeszcze!

Biedna kobieta znajdowała się ciągle w tym samym stanie nieczułości, w jakim ją zastali. Piotruś stanął przy doktorze i jakby skamieniały, milcząc i połykając łzy, cisnące mu się do oczu, nie spuszczał wzroku z konającej.

Upłynęła znowu godzina.

W ciasnej tej izdebce zapanowała ponura cisza, tem straszniejsza wobec wspaniałego spokoju przyrody i dźwięcznych głosów, dolatujących z zewnątrz. Noc była piękna, jasna i przeźroczysta, lekki wietrzyk szemrał wśród liści, a miłe światło księżyca osrebrzało nędzną tę chatkę, do której już anioł śmierci zapukał.

Placyd siedział na ławce przy na wpół uchylonem oknie, nie spuszczając oka z Piotrusia, na którego twarz padały czerwonawe blaski ogarka. Sąsiadka odeszła ze swoim synem, który odprowadził do Vers konia, wypożyczonego przez Piotrusia. W izbie więc pozostał tylko doktor i dwaj młodzi ludzie.

Pan Pradel skinął na Placyda, aby się przybliżył.

— Ja odjeżdżam — rzekł do niego — nie mam tu co robić. Biedna kobieta nie odzyska już przytomności i w tem odrętwieniu zaśnie na wieki.

— Jedź pan, ja zostanę — odparł żołnierz.

— Jeżeli matka twoja się obudzi — zwrócił się doktor do Piotrusia — daj jej kilka kropli tego lekarstwa, które tu przygotowałem. Więcej nic poradzić nie mogę. Odwagi, mój przyjacielu!

— Dziękuję panu — odpowiedział Piotruś.

Za chwilę rozległ się tentent konia głośny zrazu, potem coraz bardziej stłumiony, znikł wreszcie, tem głębszą po sobie zostawiając ciszę.

Przy łożu konającej pozostali tylko brat i narzeczony Milki.

XVIII.

Chora nie odzyskała już przytomności, i jak doktor przepowiedział, śmierć zaskoczyła ją w tym śnie długotrwałym i o wschodzie słońca Piotruś, trzymający rękę swej matki, uczuł, iż ręka ta sztywnieje i lodowacieje.

A kiedy już ostatnie wydała tchnienie, rzucił się jak zwierz śmiertelnie raniony i z dzikim jękiem boleści padł w ramiona Placyda.

Czuły i serdeczny uścisk złączył ich obu na całe życie, gdyż nie ma trwalszego związku na świecie nad wspólność dwóch serc, z których jedno cierpi, a drugie zdolne jest podzielić jego cierpienie.

Długo trzymali się wzajemnie w braterskich objęciach, a gdy Piotruś podniósł się znowu, po jego niby zimnej i spokojnej twarzy dwie łzy spłynęły; uścisnął w milczeniu rękę przyjaciela, i podprowadziwszy go do łóżka, przemówił dziecięcym prawie głosem:

— Patrz, przyjacielu, to moja matka! Moja matka!... — powtórzył raz jeszcze; sił mu zabrakło i zalał się łzami.

Potem rzucił się na trupa, podnosił go, całował i przemawiał najczulszemi słowy, jakby śmierć nie była głuchą i ślepą.

Placyd nie miał odwagi patrzeć na to szaleństwo rozpaczy. Wrócił do okna i otworzył je. Świeże powietrze orzeźwiło go i przyniosło mu trochę ulgi. Piotruś zalany łzami, modlił się na klęczkach przy łóżku.

Modlitwa trwała długo, modlitwa, której matka nie słyszała, ale która w serce osieroconego syna błogi spokój wnosiła. Powstał nareszcie i błędnym wkoło zatoczył wzrokiem.

— I ty tu jesteś jeszcze? — zapytał spostrzegłszy Placyda.

W jednym kącie chaty wisiała święcona palma wielkanocna.

Zdjął ją, włożył gałązkę w ręce zmarłej, a potem podszedł do Placyda.

— Chodźmy do La Queyrie — rzekł — potrzebuję widzieć się z Milką.

— Chodźmy! — odpowiedział krótko.

Piotruś rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na łóżko, westchnął raz jeszcze i wybiegł pośpiesznie.

Na progu spotkali sąsiadkę, która przyszła dowiedzieć się, jaki jest stan chorej.

— Wejdźcie tam — odpowiedział jej Piotruś — i pomódlcie się za jej duszę.

Poczciwa kobiecina zadrżała na tę wiadomość, ale weszła do izby.

— Jedźmy, jedźmy czemprędzej! — wołał nieszczęśliwy rozpaczliwym głosem.

XIX.

Koń Placyda spędził noc całą przywiązany do drzewa przed chatą. Piotruś wsiadł na niego i podjechał jeszcze do Vers, aby poprosić o konia, którego już wczoraj pożyczono mu, gdy potrzebował udać się po doktora.

Piotrusia kochali wszyscy sąsiedzi jego matki; po większej części znali także i ojca Pascala, stryja Placyda; z łatwością też strapieni młodzieńcy otrzymali konia i galopem puścili się drogą, którą już raz tej nocy przybyli.

— Przed kilku godzinami zaledwie, jadąc tą drogą — przemówił z westchnieniem Piotruś — miałem jeszcze nadzieję.

Żołnierz odpowiedział mu poważnie:

— Tak chciało przeznaczenie.

Pomiędzy ludem istnieje jeszcze wiara w fatalizm, sprawiająca, że człowiek dotknięty nieszczęściem, opuszcza bezwładnie ręce, zdając się ślepo na wolę losów.

Aż do La Queyrie nic więcej z sobą nie mówili. Gdy już wjechali na drożynę wiodącą do folwarku, Piotruś westchnął ciężko:

— Muszę więc wnieść żałobę do tego domu — rzekł — gdzie dotąd ciągle wesele panowało.

Lorinowie i Milka usłyszawszy tentent koni, wybiegli naprzeciwko.

Skoro Milka ujrzała swego narzeczonego bladym, złamanym, z zaczerwienionemi oczyma i zapadłemi policzkami; nie mogła powstrzymać wykrzyku boleści, i rzucając się ku niemu zawołała wzruszona:

— Boże mój!... Co się tobie stało, Piotrusiu?

— Matka moja umarła — odpowiedział.

— Ach, biedny chłopcze! — rzekł z współczuciem Pascal, wyciągając ręce do Piotrusia, który padł w jego objęcia wzruszony.

I w gronie tych pięciu osób, wspólnie dotkniętych jednym ciosem, zapanowało smutne i głębokie milczenie, jakie śmierć tylko jedna zdolna jest wywołać.

Milcia przysunęła się do Piotrusia i ujęła jego rękę, podczas gdy on oparł głowę na piersiach starego Lorin. Obok nich stała pani Katarzyna z Placydem; poczciwa kobieta zalewała się łzami, on zaś posępnym wzrokiem spoglądał na narzeczonego swej siostry.

Trwało to dość długo. Nareszcie Piotruś wyrwał się z czułych uścisków Pascala i Milci, i przemówił drżącym głosem:

— Wybaczcie mi państwo, żem wam przyniósł łzy i zmartwienie; ale cóż ją biedny miałem począć. Wiem, że mnie kochacie, że i ją kochaliście... Ah! Boże mój, Boże!

— Chłopcze, taka była wola niebios — rzekł Pascal z wielką powagą — nam tylko upokorzyć się przed nią należy.

— Biedna moja matka! — szeptał nieszczęśliwy.

— O tak — ciągnął dalej stary — poczciwa była kobiecina i kochałeś ją bardzo. Była dumą twoją i pociechą. Chciałeś na zawsze mieć ją przy sobie, ale Bóg tego nie chciał. Cóż począć, mój Piotrusiu? Przed laty dwudziestu i ja miałem syna i kochałem go tak samo, jak ty swoją matkę. Miał już pięć lat, już wszystko mówił, był naszem weselem, skarbem naszym. Nie płacz, żono, dziecię to umarło!... Serca nam pękały z boleści, ale powiedzieliśmy sobie: „Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego będzie pochwalone." I widzisz, Piotrusiu, Bóg nie zapomniał o nas: zamiast jednego dał nam dwoje dzieci, Milcię i Placyda. Bóg wie, co robi; na strapienie pociechę zsyła, na rany balsam.

Przerwał starzec. Piotruś z okiem ożywionem choć łez pełnem, zawołał:

— Mówcie dalej, ojcze Pascal! Mówcie jeszcze, słowa wasze są prawdziwym balsamem dla mnie.

Obie kobiety płakały także, Placyd przygryzał wąsy i niecierpliwie wstrząsał głową. I on nie mógł oprzeć się wzruszeniu.

— Nic więcej nie mam ci do powiedzenia — odparł Lorin. — Módl się za duszę twej matki, i prowadź się dalej tak, jak przystoi mężczyźnie. Spełniając ten obowiązek, uszanujesz pamięć nieboszczki. A potem, nie zapominaj, chłopcze, że pozostała ci jeszcze rodzina i przyjaciele, że w domu naszym jest zawsze dla ciebie miejsce przy wspólnem ognisku jak dla dziecka własnego...

— Oh! — zawołał Piotruś. — Zasłużyłem na współczucie i miłość waszą, bo cierpię, okropnie cierpię!... A przecież wszystko, co mogłem, zrobiłem, aby ją uratować!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻARTY.

BARDZO ŁATWO.

Pewien jegomość, odwiedzając więzienie, pyta jednego aresztanta, jak się tu dostał?

Aresztant: Bardzo łatwo. Tu ślepy trafi, bo jednego dwóch prowadzi.

WYJATEK Z POWIEŚCI.

„Karolina doznawała w życiu sprzecznych kaprysów losu. Nieszczęśliwie zakochana, została szczęśliwą narzeczoną, a wyszedłszy za mąż nieszczęśliwie. w końcu szcześliwie doczekała sie rozwodu".